

Tęsknię za spokojem

Z LESZKIEM MĄDZIKIEM, twórcą Sceny Plastycznej KUL, rozmawia Dorota Fryc-Piętak.

– W 1993 roku obejrzałam „Tchnienie”, jeden ze spektakli Sceny Plastycznej. Pamiętam moje zaskoczenie niespodziewanym zakończeniem widowiska, które nie całkiem rozumiałam. Wracając z obrazami w głowie, wątpliwościami, wcale nie mądrzejsza, może bogatsza o pewne doświadczenie? Czy interesują Pana odczucia widza? Czy ma Pan wobec niego oczekiwania?

– Oczywiście, że mam. Co jakiś czas odczuwam potrzebę nadania komunikatu. Chcę się z kimś podzielić przeżyciami, jakie we mnie i wokół mnie się zdarzyły. Widz jest mi bardzo potrzebny w procesie tworzenia każdego spektaklu.

To pytanie jest dla mnie o tyle istotne, że dotyka zasadniczego motywu mojej pracy, czasu od premiery do premiery. Nie chcę zostać sam z tym, co się we mnie dzieje. Teatr daje mi cudowną szansę, że nie jestem samotny. Spektaklem chciałbym wejść w każdego widza, nie zakładając, że on do końca zinterpretuje, czym to było. W mojej świadomości i podświadomości są uczucia, doznania, których nie znam.

Spektakl można by nazwać stanem ducha, stanem psychicznym, sytuacją gotowości do zauważenia świata. Oczekuję, że pejzaże, które przywołuję w teatrze, będą powracały do widza w różnych sytuacjach życiowych i będą się przypominały, by spektakl trwał po zakończeniu.

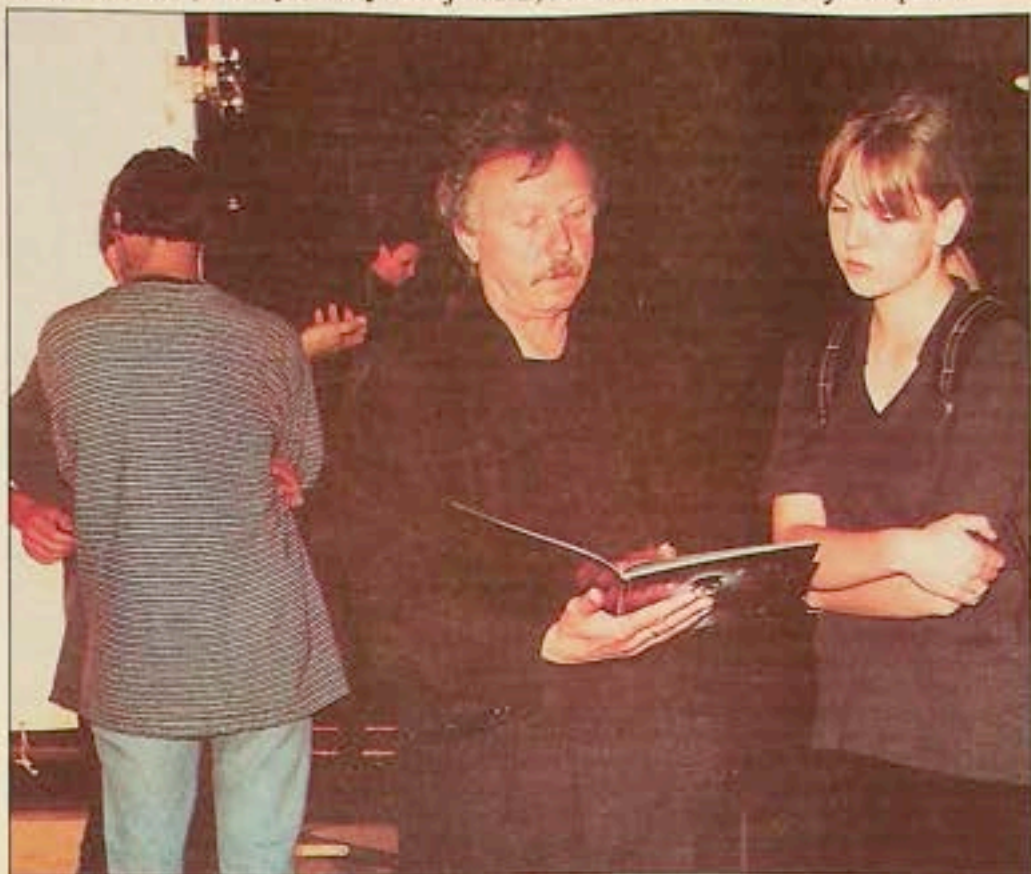
– Posłuję się słowami Norwida z „Fortepianu Szopena”: „Dopełnienie?... go boli!... /On – rozpaczać woli/ I woli wyrzucić przed się – zadatek!”.

Czy, zdaniem Pana, widzowie powinni szukać sami dopełnienia spektaklu?

– Ten przywołany fragment ułatwia naszą rozmowę i spotkanie. Chciałbym, żeby jakieś echo, odzew czy dopełnienie zdarzyło się u widza. Nigdy mój teatr nie odpowiada do końca na pytania, które stawia. Spektakl jest tylko momentem impulsu, wyzwolenia czegoś. Chcę w człowieku, z którym się dzięki teatrowi spotykam, wywołać pewne drżenie, wzruszenie, wzbudzenie. Nie chciałbym jednak, żeby widz, przez swoje doświadczenie, życie, ponazywał obrazy, dramaturgię, które się przed nim dzieją.

– Co Pan robi w trakcie widowiska?

– Jestem obecny na każdym spektaklu. W ciągu 27-letniej historii Sceny Plastycznej KUL zawsze jestem ukryty wśród widzów. Komunikuję się z kolegą prowadzącym światło, z elektroakustykiem. Przekazuję sygnały, co ma się dzieć w spektaklu. Sztuka jest jak-



Zdjęcie: A. Budziszewska

by na nowo świetlnie budowana. Kiedyś mój teatr porównałem do czarnego blejramu, na którym jak pędzlem, czyli białym światłem, tworzę przed widzami pewne wydarzenia.

Moja obecność jest konieczna, ponieważ czuję temperaturę widowiska. Wyczuwam ją plecami. Wiem, jaka jest gotowość widza, czy coś się zdarzyło, czy coś wisi w powietrzu, czy jest między nami kontakt. Od tej atmosfery zależy, jak świecę.

Największą radość mam w momencie finału każdego spektaklu. Tak konstruuje scenografię, by przebiec wzrokiem po twarzach wszystkich widzów i każdego zobaczyć z osobna. Czytam stan, który chciałem wywołać u kilkudziesięciu osób, obserwuję drżenie ludzi. Tej sytuacji nie mogę sobie odmówić.

– Zwykle widowiska nie przewiduje zakończenia. Jest zaskoczona. Tylko gdzieś pojawiają się oklaski. Sama nie byłam przekonana, czy bić brawo...

– Odważę się powiedzieć, że gdy są brawa, to znaczy, że coś się nie udało. Moim zamierzeniem jest tak sparaliżować widza, by nie czuł potrzeby oklaskiwania. Żeby odbiorca nie miał siły i odwagi okazywać wdzięczności. Bez zbędnej kurtuazji. Zupełna cisza po spektaklu jest moją największą radością. To mi trochę przypomina wyjście ze świątyni. Zyczyłbym sobie, aby ludzie wychodzili ze spektaklu w dowolnym dla siebie czasie. Nie oczekuję klasycznego zachowania. Klasyk może zaraz opuścić widowisko, ktoś zostać dłużej, trwać jeszcze.

– Czytałam relacje widzów po obejrzeniu niektórych premier. Obok świetnych recenzji, znaleźli się odbiorcy stwierdzający, że ten teatr nie jest dla nich.

– Naturalnie, może się tak zdarzyć. Nie kategoryzuję widzów. Możliwe, że ktoś oczekuje, by podjęty w spektaklu temat przedstawił inaczej. Sam mam dużo wątpliwości. Kiedyś powiedziałem, i to jest we mnie ciągle obecne, że jak znajdę odpowiedzi na pytania, które stawiam, nie będę robił tego teatru.

W spektaklach przewija się cały czas moment niepokoju, lęku, niewiadomej perspektywy, którą chcemy dogonić. Jest jakaś tęsknota za sacrum, za pełnią, za równowagą, ale jest ona jedynie próbą dogonienia. Nie spełnieniem, a jedynie chęcią, żeby się zdarzyło.

– Przecież tutaj, na ziemi, nie osiągniemy spełnienia, pełni...

– Cieszy mnie, że to pani powiedziała. Coraz bardziej w to wierzę, że nasza obecność na tym padole ma być cały czas drogą, a nie celem. Kto patrzy w wymiarze Boskim na wędrowanie, zauważy, jakie to są drogi – kręte, trudne, proste? Dla mnie to wędrowanie, jak mówi jeden z tytułów spektakli, jest bardzo istotne. Ważne, by tęsknota podążała w kierunku świętości i religii. Myślę, że mój teatr podąża w kierunku religii, choć nie upieram się, że jest to teatr religijny.

– W październiku ubiegłego roku zaprosił Pan widzów na 15. premierę „Zielnik” powstał pod wpływem dzieła Aliny Szapocznikow. Pomysł do „Wędrownych” dostarczyło Panu mocne

przeżycie z podziemia klasztoru. Co było inspiracją do najnowszej sztuki „Kir”?

– Rzeczywiście były różne inspiracje. „Kir” powstał długo. Ostatnio coraz rzadziej przygotowuję spektakle, także dlatego, żeby się nie spieszyć. Nie chcę niepotrzebnie tracić czasu na koronkowość, ozdobność. Chciałbym, by spektakl był w dobrym znaczeniu, ubogi. Dlatego jestem ostrożny, czekam, daję sobie szansę namysłu, zanim rozpoczniemy próby.

Od pewnego czasu jestem w potrzebie obcowania z sytuacją Jana od Krzyża, Teresy z Avila, ostatnio św. Augustyna. Myślę, że jest to pewna wypadkowa moich poszukiwań. Odważę się stwierdzić, że „Kir” jest najbliższy sacrum. Chociaż może tytuł w wymowie jest pesymistyczny. Przyjaciele radzili mi nazwać sztukę „Obcowanie”. Jestem za lapidarnością w tytule. „Kir” wywołuje. Z refleksji, że coś się kończy, coś umiera, buduje spektakl. Chciałbym, by to widowisko nie było krzykiem, lecz szeptem, dotykało świętości. Myślę, że po „Brzegu” ostatnia premiera najbardziej zdążyła ku Bogu. Aż się boję, jaka będzie następna.

– Mówił Pan, że robi właściwie jeden spektakl. Czy odnosi to stwierdzenie do wciąż powtarzających się motywów: niepokoju, cierpienia, umierania, poczucia skończoności?

– Te tematy były zawsze w sztuce, literaturze. Ja ich nie wymyśliłem. Czytane doświadczeniem każdego z nas. Moje tworzenie jest testem, jak sobie z tymi tematami radzę. Henryk Waniek zaprze-

cza, że jest to ciągle ten sam spektakl, ponieważ zmieniają się wszyscy, nikt nie stoi w tej samej wodzie.

Jeden spektakl w tym znaczeniu, że cały czas jestem jego autorem. On mnie dotyka. Nikogo więcej. Nie opowiadam czyjejs historii, tylko własną. Z tą różnicą, że w różnym wieku i czasie.

– Czy teatr dojrzewa?

– W słowie „dojrzewa” jest też „dojrzeć” – „dostrzec”. Chciałbym, żeby dostrzeżono, za czym tęsknię. Za spokojem i równowagą. Mówi się o moim teatrze, że jest pesymistyczny. On jednak zawsze daje okienko światła na końcu. Nie jest teatrem absurdu. Pomimo dramatów, sięga głębiej. To jest bardzo ważna perspektywa.

– Jakie ma Pan metody pracy z zespołem aktorów?

– Przy każdej premierze jest inny zespół. Zaczynam jakby nowy rozdział. Mój zespół jest młodszy od Sceny Plastycznej. Nie istnieli jeszcze, kiedy wystawiłem pierwszą premierę. Między nami musi być pewne zaufanie, zawierzenie. Poza sprawnością fizyczną i gotowością dyscypliny, potrzebna jest umiejętność wchodzenia w klimat spektaklu.

Metoda pracy jest trochę dziwna. Kiedy jestem gotów do rozpoczęcia spektaklu, anonuję afiszem, że szukam osób do współpracy. W ubiegłym roku zgłosiło się około 70 studentów KUL.

Po tygodniowych rozmowach, kierując się jedynie przeczućmi, poruszeniem, wybrałem 10 osób. Rok przenikaliśmy się i dojrzewaliśmy do momentu, w którym należało rozpocząć próby. Najczęściej tworzymy w wakacje. Uniwersytet jest pusty. Łatwiej się skupić. Jesteśmy tylko dla pracy. Od rana do wieczora pracujemy. Finałem tworzenia jest premiera.

– Co daje Panu wierność artystyczna Scenie Plastycznej KUL?

– Myślę, że poza tym miejscem nie urodziłbym tego teatru. Uniwersytet lubelski jest dla mnie opatrnościowy. W latach 60., 70., 80. nie znalazłbym w innych środowiskach takiego klimatu, by stworzyć Scenę. Uważam, że mam dużo szczęścia, pomimo trudu, pracy, zmęczenia, które również daje teatr.

Na KUL-u spotkałem Mieczysława Kotlarczyka, Irenę Byrską. Dzięki nim wszedłem w teatr. Spotkaliśmy się przez przypadek. Zaproszono ich na uniwersytet do pracy, a ja w tym czasie studiowałem historię sztuki. Czuję, że czasu nie zmarnowałem. Moja cała rodzina jest zaangażowana w Scenę. Jestem szczęśliwy, że mogę robić ten teatr.

– Dziękuję za rozmowę.